

Michał Rosa

Autoreferat

Istnieją dwa porządki, w których zwykle się pisać o własnej twórczości. Jeden z nich określa szkoły, kierunki czy tendencje, do których autor zalicza, lub chciałby zaliczać swoje dokonania. Porządek drugi wyznaczają osobowości, których wpływ miał decydujące znaczenie w formowaniu się indywidualnego stylu autora. Przyznaję, że ta ostatnia metoda, jest mi zdecydowanie bliższa.

Z perspektywy czasu rok 2002, rok obrony pracy doktorskiej w łódzkiej PWSTFiTV okazał się przełomowy dla mojego zawodowego życia. Zakończył okres dorastania znaczony nazwiskami nauczycieli, Edwarda Żebrowskiego i Krzysztofa Piesiewicza i skierował ku samodzielności.

Teza ta wymaga komentarza. Dlatego też nim odniosę się do swoich prac zrealizowanych po doktoracie, cofnę się na chwilę do źródeł.

Gdy na początku lat dziewięćdziesiątych kończyłem WRiTV w Katowicach, miałem gotowe cztery scenariusze debiutu fabularnego. W ciągu jednego dnia rozwiozłem je po studiach filmowych, a po tygodniu dostałem trzy pozytywne odpowiedzi z propozycjami rozpoczęcia produkcji; jestem przekonany, że ten przyspieszony start zawdzięczam Edwardowi Żebrowskiemu.

Mistrz Edward był w szkole postacią wyjątkową. Nie zajmował się konstrukcją, strukturą i punktami zwrotnymi; przywiązywał wagę do wiarygodności postaci, czytelności świata i przyczynowo-skutkowej logiki postępowania. Mówił niewiele, zawsze smacznie. Najwyżej cenił precyzję myśli, dystans i oszczędność środków. Przymuszał do nieustannego poprawiania tekstów. Ale dawał też nadzieję, więcej, pewność, że podążanie w wyznaczonym kierunku przyniesie efekt. Także po studiach wielokrotnie wspomagał mnie swoją radą - dwa moje pierwsze

filmy, „Gorący czwartek” i „Farba” powstały w jego potężnym, dającym poczucie siły cieniu.

W połowie lat dziewięćdziesiątych pojawił się kolejny punkt odniesienia; przyznam, że gdy po obejrzeniu „Farby” zadzwonił do mnie pan Krzysztof Piesiewicz i złożył propozycję współpracy, poczułem się jakbym złapał Pana Boga za nogi; uznany twórca, nominowany do Oskara scenarzysta Kieślowski postawił na mnie - czy może być lepsze potwierdzenie drogi którą zmierzam? Czy można chcieć więcej?

Lata współpracy, naznaczone trzema wspólnymi scenariuszami i jedną zrealizowaną fabułą, nie dają jednoznacznej odpowiedzi. Z jednej strony osobowość, wiedza i kontakty pana Krzysztofa, rozwinęły moje możliwości warsztatowe i pozwoliły na współpracę z uznanymi twórcami; z drugiej strony ukształtowana, silna indywidualność scenarzysty i opinia środowiska, wepchnęły mnie w buty „imitatora Kieślowskiego”. Kontynuatora jego stylu i myśli.

Film „Cisza”, który był zwieńczeniem współpracy, nie wyszedł mi najlepiej. Piszę tak mimo licznych nagród które wtedy na mnie i moich aktorów spłynęły /nagroda za reżyserię w Gdyni, nagroda w Karlowych Varach, liczne zwierzęta - „Lew”, „Orzeł” i „Złota Kaczka” dla Kingi Preis/. Po prostu okazało się, że nie potrafię robić filmu, który nie jest do końca mój - własny, samodzielny i okupiony indywidualną niepewnością. I oczywiście nie ma w tym winy pana Krzysztofa - to ja powinienem sobie odpowiednio wcześniej zdać sprawę z „toksyczności” tego związku, to ja miałem okazać siłę, na którą pewnie także liczył mój uznany kolega.

Tu, w mojej narracji wracam do roku 2002 - roku mojego doktoratu. I roku, w którym ostatecznie zrozumiałem, że muszę wyrwać się z wszelkich, choćby najcenniejszych wpływów i stanąć na własne nogi.

To może dziwnie brzmieć; twórca trzech pełnometrażowych fabuł uznaje, że proces dorastania i nauki się skończył - to prawda, trochę późno, ale tak właśnie było. Upadek, którym w moim mniemaniu skończyła się współpraca z panem Krzysztofem, paradoksalnie przyspieszył proces wydobywania się na samodzielność. Pożegnałem się z cieniami moich Mistrzów. Zacząłem szukać sam.

Uznałem że muszę wrócić do źródeł mojego myślenia o filmie - do prostych, trzymających się ulicy społecznych opowieści, realizowanych w dokumentalnej stylistyce. Uznałem, że muszę wrócić na Śląsk.

Nie jestem Ślązakiem choć urodziłem się w Zabrzu. Przez wiele lat nie dostrzegałem uroku tej ziemi - dopiero jako student architektury, poprzez domy, fabryki i założenia urbanistyczne, zacząłem ją poznawać. Potem, przez budynki trafiłem do ludzi - zbliżyłem się do nich i zobaczyłem jak są mi bliscy.

W roku 2003 ukończyłem duży, epicki scenariusz który swymi korzeniami tkwił we współczesnym Śląsku - współczesnym, czyli zubożałym, pozbawionym dumy i wymieszanym kulturowo. Tak naprawdę były to cztery scenariusze: trzy godzinne, telewizyjne i polifoniczna, wielowatkowa opowieść kinowa, wykorzystująca tematy z krótszych filmów. Produkcji podjął się Henryk Romanowski, właściciel „Filmcontractu” i już po dwóch latach padł pierwszy klaps.

Cztery filmy pod wspólnym, znanym skądinąd tytułem „Co słonko widziało” robiliśmy pięćdziesiąt dwa dni. By wzmóc dokumentalny styl opowieści, pracowaliśmy kamerą Super 16mm, w kilkudziesięciu autentycznych, niczym nie ubarwionych śląskich lokacjach. Nieledwie niszowy charakter przedsięwzięcia podkreślała obsada: amator Damian Hryniewicz, kończąca szkołę, nieznana wtedy nikomu Dominika Kluźniak i grupa znanych, lecz nieczęsto pojawiających się na ekranach aktorów - Małgorzata Hajewska-Krzysztofik, Jadwiga Jankowska-Cieślak i Krzysztof Stroiński.

Powstał film dla mnie bardzo ważny. Moralitet. Gęsty od ludzkich dramatów, intensywnie zagrany i nieoczywiście sfotografowany. I jak się wydaje ciekawy warsztatowo - pokazujący jak można z jednego materiału nakręcić cztery różne, choć krążące wokół tych samych bohaterów opowieści.

Film miał dobrą prasę, zdobył sporo nagród w kraju i za granicą / nagroda Specjalna Jury w Gdyni, nagroda Canal+, brał udział w konkursach festiwali w Pusan i Rotterdamie /. Dla mnie największym wyróżnieniem była doskonale przyjęta przez krytykę projekcja w Museum of Modern Art, w trakcie 36 nowojorskiego Festiwalu New Directors / New Films.

„Słonko” było dla mnie niewątpliwym przełomem; spełnieniem, a jednocześnie kolejnym stopniem w drodze ku artystycznej samoświadomości; utwierdziło w założeniach i dało mocny punkt oparcia w dalszych poszukiwaniach.

Dwa lata później, w maju roku 2007 ponownie stanąłem za kamerą. Tym razem wraz z operatorem Marcinem Koszałką, rozpoczynaliśmy w Krakowie zdjęcia do dramatu psychologicznego p.t. „Rysa”.

Idea moralitetu, w którym do spokojnego, kochającego się domu, raptownie wdiera się przewina jednego z bohaterów i wbrew najlepszej woli wszystkich stron, swą ciemną siłą niszczy rodzinę, chodziła za mną od lat. Pierwszą wersję opowieści o Janie i Joannie złożyłem do publicznej telewizji w 1998 roku. Był to wtedy scenariusz godzinnego filmu - niestety, nikt z możliwych nie zainteresował się tekstem. Na szczęście po latach znalazły się pieniądze oraz wola by film powstał.

Scenariusz opowiada o inteligenckiej, krakowskiej rodzinie. Ona - Joanna, profesor szacownego uniwersytetu, biolog, córka znanego, przedwojennego polityka. On - Jan, matematyk, podpora rodziny, ciepły i opiekuńczy. I nagle w tym statecznym wnętrzu pojawia się oskarżenie Jana o współpracę z policją polityczną i donoszenie na ojca Joanny. Proces rozpadu, uruchomiony przez to zdarzenie, stał się tematem filmu.

Historia opowiadana jest poprzez Joannę - to postać pani profesor wyznacza rytm i punkty zwrotne, to zmiany w jej psychice wpływają na sposób widzenia rzeczywistości. Przyjęcie założenia, że różnym fazom traumy Joanny, należy przypisać swoiste właściwości filmowego obrazowania, wymusiło konsekwentny eksperyment wizualny - świat bohaterki deformował się i odrealniał, tworząc niezwykły, pulsujący zmiennością obraz rzeczywistości przefiltrowanej przez zaburzoną psychę.

Znalezienie odpowiedniej formy dla tej nietypowej opowieści, konsekwentne wprowadzanie jej w życie, oraz kreację dwójki bohaterów, Joanny Jankowskiej-Cieslak i Krzysztofa Stroińskiego, stanowią o sile „Rysy” - filmu będącego, w moim przekonaniu, najpełniejszą jak dotąd autorską wypowiedzią.

Film był dobrze przyjęty przez widzów i krytykę. Został zaproszony do konkursu „Venice Days” na 65. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji. Zdobył „Złotą taśmę”, nagrodę dla najlepszego filmu roku 2008, przyznawaną przez gildię polskich krytyków filmowych. Zdobył nagrody w Karlovyh Varach, Cottbus, Erewaniu i Tbilisi, a para bohaterów kreowanych przez Jadwigę Jankowską-Cieślak i Krzysztofa Stroińskiego, otrzymała „Orła” - polską nagrodę filmową.

W roku 2008 zdecydowałem się przyjąć propozycję właściciela „Aksonu” Michała Kwiecieńskiego i podjąłem się reżyserowania serialu „Czas honoru”.

To nie była łatwa decyzja. Przez wiele lat broniłem się przed serialami; uważałem że są, przynajmniej w polskim wydaniu, zdegenerowana postać filmu, której równie daleko do sztuki filmowej, co kabaretowi do teatru. Skusił mnie - poza finansami rzecz jasna - temat, spory rozmach produkcji i fakt że każda seria jest zamknięta, mająca swój przebieg i zakończenie całością.

Po zrealizowaniu pięciu serii „Czasu honoru” - bilans zysków i strat związanych z tym przedsięwzięciem, nie jest oczywisty. Do zysków zaliczam spotkanie z całą czołówką polskiego aktorstwa, możliwość pracy w solidnie przygotowanym przedsięwzięciu kostiumowym i nabycie pewnej sprawności warsztatowej związanej z dużymi, wojennymi inscenizacjami. Rubryka strat jest krótka ale znacząca i tak naprawdę wiąże się z jednym słowem - kompromis.

Nie potrafię odpowiedzieć na ile codzienność wielorakich kompromisów - od obsady po montaż i tempo pracy - wynikających z dominującej roli producenta i nadawcy w serialu telewizyjnym, wpłynie na autonomię mojego myślenia, niezbędną

w podejmowaniu wszelkiej, twórczej działalności. Wierzę jednak, że jestem wystarczająco świadomy i silny. Wierzę że wyraźnie rozróżniam granicę między myślą a przemyśleniem, wysiłkiem a wysileniem. Między codziennością a świętem.

W roku 2009 napisałem scenariusz opowieści o „Ogniu” - jednej z najbardziej kontrowersyjnych postaci polskiej historii XX wieku. Góralu, żołnierzu, komendancie. Partyzancie Armii Krajowej z wyrokiem śmierci za zdradę, szefie delegatury Urzędu Bezpieczeństwa w Nowym Targu, a równolegle twórcy największej grupy oporu antykomunistycznego w Polsce, niekwestionowanym władcy Podhala. O chłopie, wizjonerze, kpiarzu i zagończyku. O człowieku przeciwnieństwu, na którego przez lata polowały jawne i tajne oddziały władzy ludowej; którego próbowano otruć i zasztyletować; do którego wielokrotnie strzelano i który zabijał bez zmrżenia oka.

Przez dwa lata próbowaliśmy wraz z producentem Henrykiem Romanowskim zdobyć fundusze na ten zaprojektowany z rozmachem, epicki dramat - niestety w trakcie kluczowych dla projektu rozmów, telewizja TVN zażądała zmian w scenariuszu; zmian, które miały w efekcie umiejscowić bohatera gdzieś między komiksem a westernem. Nie mogłem się na to zgodzić - projekt któremu poświęciłem najwięcej w ostatnim czasie sił i energii, musiałem odłożyć na półkę.

Rok 2010 przyniósł kolejną w moim życiu nowość - przyjąłem propozycję napisania scenariusza na zamówienie. Stworzona na motywach powieści L.Tyrmanda „Filip” opowieść o młodym Żydzie, ukrywającym się w czasie wojny w sercu hitlerowskich Niemiec i pracującym jako kelner w hotelowej restauracji, doczeka się prawdopodobnie realizacji już w tym roku / produkcja „Akson”, reżyseria Michał Kwieciński /.

Patrząc z perspektywy pierwszych siwych włosów, na swój filmowy dorobek dostrzegam, że płynie on dwoma wyraźnymi, równoległymi nurtami.

Nurt pierwszy tworzą „Gorący czwartek”, „Farba” oraz cykl „Co słońko widziało”. W sporym uproszczeniu istotą tych filmów jest socjologizująca obserwacja społeczna, podparta brudną, nieledwie dokumentalną formą i „przezroczystym” często niezawodowym aktorstwem. Gdzieś u początku tej drogi była fascynacja filmami Mike’a Leigh i wczesnym Kieślowskim - dzisiaj z tego sposobu myślenia, by nie powiedzieć metody twórczej, została mi maniakalna skłonność do czytania wiadomości w prowincjonalnych gazetach, umiejętność szybkiego przeglądania reporterskich zdjęć i zapisywania podsłuchanych rozmów. Lubię te filmy, ale myślę, że już nie mam serca by tak pracować.

Nurt drugi stanowią dramaty „Cisza” i „Rysa”. Opowiadające o nieprostych, często chorobliwie nadwrażliwych postaciach, trudnych moralnych wyborach i nieoczywistych spełnieniach. Szukające odpowiedzi na męczące autora pytania: o konsekwencję własnych wyborów, o rolę tradycji i rodzinnej ciągłości w kształtowaniu osobowości, o to czym powinna być stałość wobec zmienności.

Dziś, po dziesięciu latach od obrony doktoratu i dwudziestu od pierwszego filmu, stoję wobec głębokiej, wewnętrznej potrzeby scalenia obu nurtów - stworzenia intensywnego dramatu wpisanego w żywą, tchnącą autentyzmem społeczną przestrzeń. Wierzę, że przewidywany na wiosnę 2014 roku film p.t. „Szczęście świata”, moralitet dziejący się na Śląsku tuż przed wybuchem II wojny, spełni nadzieje, które w nim pokładam. Także w tej materii.

Michał Rusa